

IGRASZKI Z „BALLADYNĄ”

Rzeszowska realizacja „Balladyny” Radka Rychcika ma kilka mocnych momentów i kilka mocnych. I choć nie jest doskonała, to **skutecznie wymiata z rzeszowskiej sceny narosły latami kurz**

MAGDALENA MACH

„Wolność wiodąca lud na barykady”, słynne dzieło Eugéna’a Delacroix, które najpierw widzi publiczność, zapowiada rewolucję. Jak dla mnie nie tyle chodzi o rewolucyjne odczytanie „Balladyny”, nie dostrzegam też bohaterki-ikony, która zmienia historię, widzę za to obiecującą zapowiedź rewolucji, jaka może dokonać się na rzeszowskiej scenie.

Współczesnego odczytania klasyki polskiej literatury, z konsekwentnym budowaniem autorskiej wizji przez reżysera, nie pamiętam u „Siemaszki” od lat. „Zemsty” według Remigiusza Cabana nie liczę, bo tamtemu spektaklowi bliżej było do pastiszu niż do teatru. Rzeszów szybko się rozwija, ma wielkie ambicje i rosnący apetyt na sukces, a najstarszy rzeszowski teatr - jakby stanął w miejscu lata temu.

Radek Rychcik, kandydat do Paszportu „Polityki”, który błysnął wielokrotnie nagradzaną realizacją „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Nowym w Poznaniu, miał być jednym z leków na ten marazm. Teatralna i filmowa reżyserka Izabella Cywińska trafnie, w sposób lapidarny, określiła jednym zdaniem pomysł na jego „Dziady”: „połączenie »Chaty wuja Toma« z naszymi

sprawami”. Naturalne więc, że kolejna realizacja wielkiej polskiej klasyki musiała budzić zainteresowanie. Jak reżyser spróbuje przeskoczyć sam siebie?

Nie miał zamiaru nikogo przeszkakiwać, poszedł po własnych śladach, za największą ekstrawagancję uznając już to, że realizuje właśnie „Balladynę”. Przyrzadził więc ten spektakl według sprawdzonego w „Dziadach” własnego przepisu na nowe odczytanie klasyki. Patent ów polega na wpisanu arcy polskiego dramatu w światowy kontekst i pogodzeniu nietkniętego zmianami tekstu narodowego wieszczka z realizacją, która uczyni go czytelną w każdym miejscu naszego zglobalizowanego świata. W roli przypraw, podkreślającej wyrazistość smaków, sprawdziły się odniesienia do amerykańskiej popkultury.

Reżyser, zainspirowany przypadającą na ten rok rocznicą 100-lecia wybuchu I wojny światowej, w tamtej rzeczywistości umieścił akcję dramatu, tym bardziej że wysnuł z niej dwa nowe wątki. Po pierwsze, realia I wojny światowej stały się pretekstem do zaproszenia na scenę osób niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo, w roli okaleczonych wojennych ofiar, do pokazania osób wykluczonych (podobny zabieg zastosował w „Dziadach”, tam byli to ciemnoskórzy ak-

torzy), dla których profesjonalne teatralne sceny były do tej pory nieosiągalne. Tu niepełnosprawni wystąpili u boku aktorów. Dziwne jest to zderzenie profesjonalnych aktorów, próbujących konsekwentnie budować swoje role, z amatorami wyglądającymi swoje kwestie. Ci ostatni są jednak tak sympatyczni i tak jasno widać, jak wielki wysiłek włożyli w przygotowanie swoich ról, że mogą wzbudzać swoją obecnością na scenie wyłącznie pozytywne emocje.

Czy to także sposób na wzbudzenie zainteresowania widzów? Reżyser szczerze odpowiadał, że ważne były dla niego obie te motywacje.

W pierwszym konflikcie zbrojnym o światowym zasięgu Rychcik dostrzegł źródło emancypacji kobiet. Dlatego imię tytułowej bohaterki reżyser odczytuje symbolicznie jako syndrom szerokich przemian obyczajowych. Jego Balladyna miała być ikoną emancypacji.

W spektaklu rzeczywiście jest wyrazista bohaterka, ba, są nawet dwie! Żadną z nich nie jest Balladyna. Intrygująca twarz, znana z plakatu promującego spektakl, okazuje się jedyną twarzą, jaką pokazuje nam odtwórczyni głównej roli, wyłoniona w castingu debutantka Julia Trembecka. Nie zdradzi cienia emocji, nie dokona się w niej

przemiana. Nawet czerwona suknia i buty nie dodadzą jej siły. Nie ma w niej charyzmy, nie wierzę jej, to nie jest postać, która byłaby zdolna porwać tłumy.

Bo wierzę, że emancypację wywalczyły kobiety pełne ambicji, powodowane pragnieniem zmiany świata na lepszy, mocne duchem i inteligencją, a nie siłą taranu, który napędzany jest wyłącznie tępą żądzą władzy.

Współczesnego odczytania klasyki polskiej literatury, z konsekwentnym budowaniem autorskiej wizji przez reżysera, nie pamiętam u „Siemaszki” od lat

„Balladyna” to historia Kaina i Abela w kobiecej wersji, kobiecy sposób przeżywania zbrodni i kary. Ja przeżywania nie widziałam wcale, wszystko wygrane na jednym tonie, czasem aż rażące niedoświadczeniem. Reżyser opowiadał przed premierą, że zobaczył na scenie królową, a ja - dziewczynę ją udającą.

Ale to nie znaczy, że spektakl jest z przeżyć wyjąłowny. Wzruszająca jest matka Anny Demczuk, nawet jeśli gra tylko samym głosem. Emocjonalna za obie siostry jest Alina w interpretacji Izabeli Gwizdak. Jednak scena należy do rzeszowskiej aktorki Dagny Cipory w roli Goplany, uosabianej przez Shirley Temple.

Pomysł reżysera na to, jak w krwawym realizmie I wojny światowej uzasadnić postacie nierzeczywiste dramatu, uważam w tej realizacji za najlepszy: nie ma innego świata niż ten wypełniony krwawymi wojnami i zbrodniami - nie pozostawia nam nadziei reżyser. Rychcik sprowadza metaforę Słowackiego na ziemię. Nadprzyrodzone postaci z dramatu Słowackiego to aktorzy, którzy odgrywają scenki w teatryku w wojennym szpitalu. To dobry moment na zanurzenie się w świat popkultury i wyciągnięcie z niego postaci, które zawiadnęły masową wyobraźnią w pierwszej połowie XX w. One też przecież były jakby nie z tego świata.

Dziecięca gwiazda Shirley Temple idealnie pasuje do egoistycznej i rozkapryśzonej, skoncentrowanej na spełnianiu własnych zachcianek, bardziej dziecięcej niż kobiecej Go-

scenicznych obrazów. Jest też rock’n’roll.

plany. To dziecko rządzi sceną w pierwszej części tego spektaklu.

Partneruje jej Grabiec - Frankenstein, postać z XIX-wiecznej powieści uznawanej za zapowiedź gatunku science fiction, ożywiony w najsłynniejszej ekranizacji powieści w 1931 r.

W tej roli Waldemar Chyzak, który w mocno przerysowanym, karykaturalnym kostiumie wygłasza najważniejsze przesłanie tego spektaklu. Aktor dobitnie i przejmująco, nieśmiertelnymi słowami słynnego przemówienia Charliego Chaplina z filmu „Dyktator” przypomina, co tak naprawdę czyni nas ludźmi. Ściskające za gardło i poruszające w swojej aktualności. Na scenie nikt go jednak nie zrozumie, świat o tych słowach też zapomniał...

Ale popkulturą Rychcik czasem też się zwyczajnie bawi, sprowadzając np. krwiożerczą naturę Balladyny do porównań z Hannibalem Lecerem, gdy smaży na patelni kawałki mózgu wyjęte wprost z czaszki Frankensteina.

Puszczając oko do widowni także twórcy muzyki, bracia Michał i Piotr Lisowie. Muzyczne motywy odnajdujemy, poczynawszy od „Święta wiosny” Strawińskiego po czolówkę programu „Sensacje XX wieku”.

Spektakl na rzeszowskiej scenie wywołał lekką konsternację, komen-

tarze były skrajnie różne: od druzgocących, oskarżających tę realizację o miałość i bałaganiarstwo, po bardzo ostrożne i próbujące doszukiwać się kolejnych warstw znaczeń, czasem nawet bardzo odległych.

Niektórzy widzowie nie mogli znieść huków, błysków, dymu i głośnej muzyki, wrażenia chaosu, który momentami dominuje.

Spektakl sporo mówi nam o dramacie Słowackiego, próbując wydobywać za pomocą całego wachlarza scenicznych środków całkiem nowe wątki. Ale jeszcze więcej dowiadujemy się z niego o dzisiejszym teatrze i o rzeszowskiej widowni.

Rychcik wpuścił na scenę Siemaszkowej powiew nowej estetyki, inne spojrzenie na klasykę, dla niektórych nie do zaakceptowania. Dla mnie - czasem intrygujące, niekiedy nieznosnie denerwujące, momentami rockandrollowe (nie tylko w warstwie muzycznej), także zabawne. Mimo trzech godzin - nie nudne! A jak na rzeszowski teatr - to już prawie rewolucja. ●

Juliusz Słowacki „Balladyna”, reżyseria Radosław Rychcik. Premiera: Kraków, Międzynarodowy Festiwal Teatralny Boska Komedia, 5 grudnia 2014. Premiera w Teatrze Im. Siemaszkowej w Rzeszowie - 12 grudnia 2014